

Wychodzą we Wtorek, Czwartek i Sobotę. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr. — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 6 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k.

# NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza piśmie petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następne po 1 1/2 kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Biuro ekspedycji w księgarni H.W. Kallenbacha.

## DZIWO - ŻONA.

Powieść społeczna  
przez  
**Zygmunta Kaczkowskiego.**  
VII.

(Ciąg dalszy).

Osiadłszy tam i zatrzymawszy Szłyka u siebie, wkrótce się potem pan Bonawentura ożenił. Niewiadomo, czy był bardzo, czy miernie tylko szczęśliwy ze swoją żoną, lecz to wiadomo, że ta żona powiła mu syna i w dziesięć lat potem umarła.

Odtąd pan Bonawentura został się sam tylko ze Szłykiem. Stosunek między tymi obudwoma starcami był z początku dość dziwny. Pomimo bowiem tak dawnej i tak ściślej przyjaźni wachmistrz był zawsze wachmistrem, a porucznik nie przestawał być porucznikiem. Kiedy Bonawentura przechodził, Szłyk zawsze powstawał z miejsca, wolał tamtego była temu rozkazem, a każde jego słowo jak gdyby komendą. Lecz czas i tak bliskie ze sobą stosunki pomału ochwiała tę pomiędzy nimi różnicę, a starość porównała ich rangi. I została jeszcze tylko ta jedna dawnej nierówności pamiątka, że Szłyk Bonawenturze mówił zawsze jegomość, a tamten jemu waść tylko lub waszeć, i nakoniec, że tamten był panem wioski i domu, a ten tylko proletaryuszem, żywionym z łaski i przyjaźni. Ale i to kiedyś śmierć między nimi wyrówna, jak odbierze tamtemu wieś, a tego od obowiązków względem żołądka uwolni, i obudwóch poskłada razem po trzy łokcie głęboko pod ziemią!...

Lecz bogdaj-by byli żyli jak tylko można najdłużej. Bo obadwa byli ludzie poczciwi, zasłużeni wedle sił swoich, a nie pyszniący się swoją sławą wojskową, dawni żołnierze z francuskiej armii a nabożni i religijni, starzy a pracowici i przykładni dla wszystkich sąsiadów. Gospodarstwo też ich było wcale wzorowe jak na tamte czasy, porządek w domu i we wsi wojskowy, obchodzenie się z poddanymi szczere, ojcowskie, wyrozumiałe. — To też skutkiem tego było błogosławieństwo boże i nigdy nieomyłające dochody. Oszczędność była wielka w ich domu, a prawdę mówiąc, pan Bonawentura był nawet skąpym cokolwiek. Nie posuwał on tego skąpstwa do brudu, i jego serce się nigdy niepokalała chciwością cudzego dobra, ale zawsze odmawiał on sobie wszystkiego, bez czego się tylko mógł obejść. nigdy nie kupił, co nie było nie odzownie po-

trzebne, jadał tylko to, co się urodziło lub zrobiło na jego gruncie, chodził zawsze w jednym surducie i jeden frak granatowy miał od wielkiej parady. Syna swego utrzymywał ubogo, chociaż-by miał z czego postawić go na równi z innymi sąsiedzkimi synami, — a tymczasem zbierał i składał pieniądze. Wszakże skąpstwo to miało swoje przyczyny. Oto pan Bonawentura, choćby był nie chciał, to musiał zbierać pieniądze, bo wszakże winien był bratu swemu taką summę pieniędzy, którą nielatwo było zebrać na górskiej wiosce onego czasu. — A chociaż o tym bracie jeszcze do dziś dnia żadna choćby najciemniejsza wieść go nie doszła, toż jednak mogła go jeszcze dojść zawsze, a wtedy trzeba było tego brata najpierwej powitać pieniędzmi. Znalezienia też tego brata pan Bonawentura jeszcze do dziś dnia nie stracił nadziei, często wspominał o nim w swoich modlitwach i rozmowach ze Szłykiem i mawiał: „Że największą-by mu pan Bóg wyświadczył łaskę, gdyby go choć na lat kilka przed śmiercią z tym bratem sprowadził i pozwolił mu tak samo z nim razem to życie zakończyć, jak je z nim razem zaczynał.“ — O synu swoim myślał wiele i mówił, kochał go sercem prawdziwie ojcowskim, i pragnął-by go być widzieć na najwyższym szczyście ziemskiego szczęścia i chwały, — ale pomimo to nie czynił on sobie żadnych wielkich nadziei. Nie pojmował on bowiem wcale, ażeby można na którejkolwiek innej drodze być wielkim i sławnym, jak na drodze wojskowej, reszta były to wszystko marne i poziome zatrudnienia wedle jego mniemania. Pragnął on wprawdzie tego koniecznie, ażeby Kamil wszystkie szkoły pokończył, jakie są tylko w stolicy, pragnął więc aby syn jego miał rozum wyćwiczony na książkach, bo to i w wojsku może się przydać. Wszakże Napoleon był tak mądry we wszystkim, że głupieli przy nim najstarsi mędrcy i doktory! A zresztą taka nauka przyda się człowiekowi natenczas, kiedy mu kula zabierze nogę lub rękę. Więc niechaj Kamil ma koniecznie naukę, — powtarzał często pan Łaski, — ale żeby-to z tego miał mieć kawałek chleba, żeby tam z piórkiem się kwaszył po cudzych biurach, tego wcale nie pragnął. Ale Szłyk stary, który także bardzo kochał Kamila i tak się jego losem zajmował, jak gdyby mu był sam ojcem albo stryjem przynajmniej, jeszcze dalej posuwał lekceważenie wszelkiej nauki i utrzymywał stanowczo, że świat dzisiejszy zupełnie fałszywie pojmuje wychowanie młodzieży. Książka to była najpaskudniejsza podług niego

zaraza, przez xiążki kraj zginął i teraz cały świat ginie! Pan Bonawentura tego nie przyznawał w całości, i o to nieraz długie pomiędzy obudwoma starcami zwodziły się spory, jakoż i w tej chwili okolo tej materji snula się ich rozmowa, w której stary wachmistrz swojego zdania z szczególniejszą bronił energią: — Bo co to! mówił Szlyk, wyciągając prawą nogę przed siebie; (w tę nogę był on ranny pod Arcole na moście i jakoś się szczęśliwie z tej rany wygoił, lecz kiedy pod Lipskiem drugi raz kartacz go raził w tęż samą nogę, już mu się jakoś kuracya nie udała i dotąd na nią nalegał,) bo co to quintum diabłum mospanie, u nich za edukacya! Zamykają chłopaka pomiędzy czterma ścianami i alwar łacina nie łacina, geografia nie geografia, nuż rachunki, nuż o gwiazdach, a greczyzna, a filozofia, a różne inne pogaństwa! Nuż męczyć, nuż dusić, to za nos, to za ucho, nuż z nim klepać od świtu do nocy! i żeby to rok, żeby dwa, to jeszcze! pal ich kula pan Bóg by im przebaczył i człek-by zapomniał! ale to lat dziesięć, a xiądz mówi, że nawet szesnaście! więc gdzież to zapomnieć? Dla tego też młodzieź dzisiaj, jeden bledszy jak drugi, a duszy się w nim nie domacasz, żebyś mu i kpa rzucił w oczy!

— Prawdę, prawdę waść mówisz, — rzekł na to pan Łaski, — strasznie błada ta młodzieź dzisiejsza; ale sam wasze to przyznasz, że ma rozum nie taki, jaki miano za naszych czasów, a kiedy mówi, to warto ją słuchać. Nie dawno temu zdybałem ja u starego hrabiego dwóch takich młodzików. Jeden jeszcze jak jeden, ale drugi, powiadam waści, jak mi zaczął perorować o wyprawie egipskiej, to jakby tam był i patrzył na wszystko. Nuż dopiero o kampaniach niemieckich, Hohenlinden, Austerlitz, Jena, wszystko na palcach: tu piechota, tak kawalerya, tam działa, tak pierwszy atak, tak drugi, tak szarże, tu Moreau, tam Massena, tu Cesarz. Ażem się za głowę wziął, słuchając jego opowiadania, bo to człowiek sam już nie jedną rzecz zapomniał, a o drugiej zgoła nie wiedział, jak to waść wiesz, że nie miało się czasu dowiadywać o wszystkim.

— Ehe he! — zowolał Szlyk na to, — znam ja znam tego młodzika. Staliśmy tuż przy sobie na stanowiskach, kiedyśmy to to wielkie polowanie odprawiali na dziki. Prawda, prawda! mówi pięknie i gładko, jakby się chował do parlamentu, ależ strzela! niech go tam kula! Wyszła tam maciora na niego, a szła tak wolno, jak dziad kościelny z pacierzem. Miał ją prawie na poleć. Puknął raz, pudło, poprawił, znów pudło! Quintum diabłum mospanie! ażem podszedł bliżej ku niemu, ażeby się takiemu ptakowi przypatrzeć. Bo też ptak prawdziwy, *rara avis* mospanie, co dwa razy pudłuje do maciory na poleć. Otóż przypatrzysz się jemu, zacząłem sobie dworować z niego tak po naszemu, jak to nieraz bywało w obozach, co to którego weźmiemy na zęby, to oddaj się bogu. Słuchał nieboraczek pokornie jak trusia, a ja mu to kwintą to basem do

jeżdżam do żywego; aż tu patrze, a jemu lzy w oczach stanęły i potoczyły się strumieniami po licach. Myślę sobie: I pudłuje i jeszcze mazgaj do tego! — Aż rzecze on do mnie: Jegomość drwisz sobie ze mnie i słusznie, bo wstyd szlacheckiemu synowi dwa razy tak paskudnie spudłować. Ale cóż ja winien temu? Dopiero co ze szkół wyszedłem i pierwszy raz flintę mam w ręku. Jegomość zapewne, kiedy byleś w tym wieku, na oszczep bierałeś niedźwiedzie, a ja ledwie za cyngiel pociągnąć potrafię, — ale to czasy, fatalne czasy dzisiejsze!... I znowu mu lzy się puściły z oczu. Żal mi się zrobiło młokosa, bo prawda! co on winien temu, że mazgaj? — Ale ponieważ sam czuł to i mówił do rzeczy, pozwoliłem mu gadać. Więc gadał, i zrazu szło jako tako, lecz potem mospanie! kiedy weźmie mi perorować o historii, o wojnach, o sejmach, o Napoleonie, — jam gębę rozdziawił od ucha do ucha. Słuchałem go jak żak przeszło godzinę, chociaż już dawno otrąbiono pojednego. Zdziwił mnie młodzik i skonwinkował zupełnie, żem się długo nie mógł opamiętać, powtarzając sobie w duszy: „Quintum diabłum mospanie! Wiele się rzeczy widziało na świecie, ale tyle rozumu w tak lichej figurze jeszcze nigdym nie zdybał. I długo tak zadumani obadwa szliśmy razem działami. Ale wiesz jegomość, co się stało potem? Oto nim jeszcze doszedłem do domu, całe moje zdziwienie gdzieś jak dym z lufy się rozleciało, a kiedy jeszcze raz spojrział na tego młokosa, widziałem jawnie, że cała jego mądrość to jest tylko *vox, vox, et praeterea nihil* a mazgaj zawsze mazgajem! I tak samo myślę sobie o nim i teraz.

Wysłuchawszy powieści Szlyka, westchnął pan Bonawentura głęboko, i westchnął potem raz jeszcze głębiej, aż nareszcie tak odpowiedział:

— I wtem masz waść racye, panie Janie! Co prawda, to prawda. Bo co człek wypowie, choć-by też powiedział najmędrzej, to zawsze z wiatrem uleci, a tylko to po nim zostanie, co zrobi. I owóz w tem jest rzecz nasza najgorsza, że coraz więcej się mnoży tych ludzi, którzy pięknie gadają, ale coraz mniej takich, którzy coś zrobić potrafia. Nie po myślach pięknych i mowach ozdobnych ale po jego czynach znać wartość człowieka. I owóz to jest wzgląd jeden, pod którym czasem obawiam się o mojeego Kamila.

— A mówi także nieszpętnie! — zawolał Szlyk na to, — hej! hej! pamiętam dobrze, jak to mi podczas ferji perorował o panach i szlachcie! Myślałem sobie: Quintum diabłum mospanie! czemu to ja tak kazać nie umiał natenczas, kiedy mnie pan naczelnik posłał był do Warszawy z depezą?... Aleć musiałem i ja tam mówić coś niezłe, bo mnie sam X. Hugo słuchał dłużej jak kwandrans, uśmiechał się, a potem mnie poklepał po ramieniu i rzekł: Przyjdzie czas ten niebawem, kiedy to, co waść

mi powiadasz, sami wypowiemy otwarcie i głośno, ale teraz milcz jak grobowiec, to w tem cały nasz rozum.

— Ej! różnie to jeszcze i Kamil dziś gada, — rzekł pan Bonawentura, — i często coś powie takiego, co ani przypiąć, ani przylatać. Niewiem, czy tam tak piszą w dzisiejszych księgach? Ale że powiedzieć potrafi, jak trzeba, to niemasz kwestyi. Chłopiec się uczy i myśli, i możeby z niego był nie zły bakałarz lub kaznodzieja, może-by się też kiedyś i na konsyliarza wydrapał. Ale to mnie wcale nie cieszy, bo przy całym swoim rozumie taki to mazgaj podobno, o jakim wasze wspominasz. Pałasza ani w rękę, na flintę ani popatrzy, a co gorsza, to to, że nawet do gospodarstwa żadnej w nim ciekawości nie widać. A to licha warte u mnie takie subyektum! — ale..... może to się z czasem odmieni.

— Oj! nie odmieni się, nie odmieni! — odpowiedział pan Jan stanowczo; — czem skorupka nawrze za młodu, tem już będzie cuchnąć do śmierci. A cóż dopiero człowiek, który się zarazi książkami? Znałem ja takich mospańie i powiadam, że niech się schowa pijak, gracz, zapalony myśliwy i wszelki inny diabeł przed takim, który się w bibułach rozmiłował. Stracona to dusza na wieczne czasy, bo z tego bagna już ją nie wyciągnie.

— Obaczymy to jeszcze, obaczymy, — rzekł pan Bonawentura, — chłopak to młody i jeszcze nic o nim nie można powiedzieć. Niech-no szkoły ukończy, niech-no okaże, jakie i do czego są w nim zdolności, niech-no nam sam powie, co myśli o sobie. A kiedy-byśmy natenczas widzieli...

— Oho! mospańie! — przerwał Szłyk prędko, — już to będzie po czasie! Giąć wtedy drzewo, dopóki młode, bo jak wyrośnie i rospuści korzenie, nikt mu rady nie da. Hm! gdybym ja był ojcem Kamila, wcale inaczej-był sobie postąpił.

— Jakże Waś myślisz? mów śmiało.

— Oto widzi Jegomość, — mówił Szłyk z wyrazem zadowolenia, — ja-był bywszy na miejscu Jegomości, zaraz go ze szkół odebrał.

— Jakto? odbierać go ze szkół, kiedy ich jeszcze nie skończył? A! na to-był nigdy nie przystał. Piękna-by to była rzecz z mojej strony, zaraz z młodu przyuczać chłopca do tego, ażeby to, co rozpoczął, nie doprowadził do końca. A to co by było takiego? Człowiek porządny powinien wszystko skończyć, co zacznie, albo nie powinien zaczynać. A zresztą szkoły wcale szkodzić nie mogą. Przecie i ja skończyłem szkoły w Krakowie, a nie byłem przez to mazgajem i zrobiło się wszystko, na co sił wystarczyło.

— Hm! — rzekł na to pan Jan, kręcąc głową, — ni by to Jegomość masz racya, a przecie jej nie masz. Bo to co innego Jegomość, a co innego Kamil. Jegomość byłeś sierotą i musiałeś chodzić do szkoły, bo trzeba było myśleć o tem, z czego-by mieć potem kawałek chleba. Jegomości szkoły nie zaszkodziły, bo inne czasy były naten-

czas; z ławy szkolnej poszedłeś Jegomość zaraz do wojska, ze szkoły książek do szkołyżycia. To też nie zostałeś mazgajem, bo w służbie a do tego jeszcze podczas wojny, nie ma się czasu myśleć o alfabetach. Ale z Kamilem to co innego. Na licha jemu takich szkół mądrych, na licha jemu filozofij niemieckich, kiedy z łaski pana Boga i Jegomości będzie miał wieść, jak należy? A te alfabety jemu bardzo zaszkodzić mogą, chociaż nie zaszkodziły Jegomości, bo skończywszy szkoły gdzież on pójdzie otrząść się z tych bibuł i omyć się z pleśni? He?... A tak, gdyby tu po był jaki czas między nami, to może by się przecie czego nauczył. Nasze już ledwie dziś, jutro a pojutrze kto wie, czy nam nie zaśpiewają *requiem aeternam*? A wtenczas, któż czego nauczy chłopczykę? Jak go zahukają profesory i księża, tak zahukany osiadzie na wsi, i tak zahukany już zostanie do śmierci. Nie widziałeś Jegomość, jaki to on bojaźliwy? Przy ludziach ani trzech zliczyć nie umie, na książkach czyta pięknie, języków pono umie z pięć lub więcej, mówi jak-by woda płynęła, ale uważaleś Jegomość, czego-to mu trzeba, ażeby się rozgadał? he? — A niech-no by tu zamieszkał z nami, niech-no by mu się dało konika, flintę, parę piesków, niech-no byśmy go wzięli obadwa w obroty, obaczył-byś Jegomość, co-by to się z niego zrobiło do roku. Quintum diabłum mospańie! dał-byłm sobie uciąć łeb tępym nożem, jeżeli-by po nim znać było choć troszkę, że tyle lat prześlęczał nad bibułami! — I obaczył-byś Jegomość, jakby się to zaraz zrobiło wesoło i we dworze, i we wsi, i w całej okolicy. Młode serce w domu oświeciło-by nas wszystkich jak słońce i jeszcze-by nas starych ogrzało. Mieli byśmy zabawkę i pociechę i zatrudnienie, i ojciec samby inaczej wyglądał, patrząc na swoje piskłe, próbujące swych skrzydeł i szczebiocące na gnieździe. A tak co? Siedzimy tu jak dwa mnichy w klasztorze, modlimy się, gawędzimy ni to ni owo i odżuwamy to, cośmy już dawno strawili. Nic z nas nikomu i nam nie z nikogo. Aż przyjdzie *mors*, szastnie kosą po pod nogi i — basta! I nie będzie nawet komu zapłakać na naszym grobie.

Na to pan Bonawentura westchnął już tylko z głębi piersi, lecz milczał. Umilkł i drugi gadatliwy staruszek. — I tak siedzieli obadwa pod wielkiem drzewem, mileząc i głowy coraz niżej opuszczając ku ziemi, jak dwa kłosa zapomniane pod miedzą, niegdys pełne życia i ziarna, dzisiaj już puste, połamane, pogięte i czekające tylko mocniejszego wiatrów podmuchu, ażeby się złamać do reszty i upaść w cichości na ziemię.

Tymczasem słońce zniżyło się już dobrze ku zachodowi; poważna cisza osiadła w powietrzu, wieczorna gwiazdka zaczęła migotać na niebie, słowik się zaczął odzywać w gęstwinie, a z pól dalekich dochodziły tęskne tony fletni pasterskiej, miewając się czasem z rzewną piosnką, zawodzącą jak zaklęta dziewica gdzieś pomiędzy skałami ciemniejących borów.

Staruszkowie obadwa wciąż jeszcze milczeli. Pan Bonawentura wdychając raz za razem patrzył smutno w ziemię przed sobą, a Szlyk wtórzył mu westchnieniami, lecz od chwili do chwili spoglądał ukradkiem na niego.

Aż tu nagle Kamil pokazał się w bramie.

Żaden ze starców nie dojrzał go samego w tej chwili. Ale cień jego postaci, ciemny, długi i przeciągnięty, przysunął się pod same drzewo, i rozścielił się nagle przed ich nogami. Spojrzeli więc razem obadwa ku bramie, obaczyli Kamila, i jeżeli jeden z nich rzeczywiście nie uwierzył swym oczom, to drugi to samo udawał.

— Kto to jest, panie Janie? — spytał niepewnym głosem pan Łaski, powstając z ławeczki.

— Widzi mi się, że Kamil, — odpowiedział Szlyk na to, uśmiechając się w duszy.

— Kamil! — zawołał przerażony pan Łaski, — w imię ojca i syna! a toż-by co było?

Tymczasem Kamil przysunął się wolno tuż pod same drzewo i stanął nieśmiało zdaleka.

— Kamilu! cóż to jest takiego? co aspan tu robisz? — zapytał ojciec gniewnie, przystępując tuż blisko ku niemu.

— Nieszczęście mnie spotkało, mój ojczy...

— Nieszczęście? o! znam ja te studenckie nieszczęścia! negligentia, swawola, krnąbrność przeciwko starszym, to wasze nieszczęścia.

Kamil milczał, oczy opuszczając ku ziemi a Szlyk odezwał się na to:

— Widzi mi się, że trze-ba-by tego wszystkiego wysłuchać!

— Ha! zapewne! trzeba słuchać,—odpowiedział ojciec, fukając przed siebie, — no mów asan, niech wiem przynajmniej, coś tam spałał takiego!

Tu Kamil zaczął opowiadać koleje swoich fatalnych losów. Niewiadomo nam jest, jakie to były właściwie te losy i czyli Kamil w opowiadaniu ich trzymał się ściśle prawdy i rzetelności, ale to wiemy z pewnością, że powieść jego co chwila była przerywana przez któregoś z słuchaczy. Musiały to być nawet rzeczy bardzo ciekawe i dziwne w swoim sposobie, bo nie masz w całym nastroju ludzkiego serca takiego uczucia, które-by z kolei nie opanowywało ostrzelanych już z różnemi uczuciami staruszków. I gniew i oburzenie, i żal i wściekłość, i litość i głębokie wspomnienie, wszystko to manifestowało się w nich na przemian, to groźba, to przekleństwem, to westchnieniem, to jakimś odpowiednim gestem lub wybitnym wyrazem na twarzy. Po opowiadaniu głównej treści wypadku, obadwa słuchacze zarzucali znów po kolei Kamila mnóstwem różnych zapytań, na które on odpowiadał jasno i dobitnie, a te szczegóły jeszcze gwałtowniejsze czyniły wrażenia, niżeli sam główny wypadek.

A kiedy Kamil już wszystko opowiedział i objaśnił

dokładnie, i nie było go o co już zapytywać, rzekł pan Bonawentura zawsze z chmurnym obliczem:

— Kiedy tak, to nie masz co mówić. Nie obwiniam aspana i wszystko przebaczam, chociaż nigdy nie pochwalę postępku, bo głupsttem jest i będzie od młokosów, kiedy się mieszają do rzeczy, które do nich nie należą. A potem, co to! z motyką na słońce! szaleństwo i głupstwo! I niech im tam Bóg nie pamięta, tym, którzy to wymyślili, bo ztąd tylko nieszczęścia! Ledwie skończyło się jedno, jest zaraz i drugie!... Lecz dajmy na to... niech i tak będzie... to ja zawsze jeszcze nie wiem, czy aspan możesz tu zostać?

— A to czemu? — poderwał Szlyk prędko, — quintum diabłum mospanie, a co mu tu kto robi? Trzech razem przy flintach i szablach, a to bym chciał widzieć tego, który-by się o niego pokusił.

— Ale daj-no waść pokój! — zawołał niechętnie pan Łaski, — waszeci się zdaje, że to tak jak na kresach. To nie kresy mospanie, o gwałtach tu ani myśleć; chyba że jeszcze mnie chcesz zgubić na starość i grób mi za kratą zgotować.

— Ach broń-że Boże, mój jegomość kochany, — rzekł na to Szlyk, poprawiając swoje junactwo niewczesne, — bo nie oto tu idzie. Co innego chciałem powiedzieć, a co innego mi się wyrwało. Nie myślę wcale wojny wydać nikomu, ani nasz dom na fortecę przerabiać; ale to chciałem powiedzieć, że dom ten z natury jest jak forteca. Więc najpierwej daleko to bardzo od miasta i gościńców i jedna tylko dróżyna prowadzi do niego, którą z okien widzimy; potem nigdy tu nikt obcy nie bywa, a kiedy-by się kto, zwłaszcza zbrojny, tu puścił, to pierwej słuch o nim dojdzie, niżeli on sam przyjedzie. — A od czegoż to takie lasy, gęste i ciemne jak noc i idące światami? Toż to nie forteca? gdyby czego Boże uchwaj! słuch jakki, chlust do lasu i szukaj-że go sobie jak długo ci się spodoba! Owóż to, co chciałem powiedzieć, — kończył Szlyk zadowolony, że się tak zręcznie wytłumaczył, lecz kiedy ostatnie słowo domawiał, odezwał się tuż pod drzewami głos mówiaczy wyraźnie:

— Niech będzie pochwalony pan Jezus!

Na ten odgłos wszyscy się razem wzdrygnęli, nawet Szlyk nieustraszony rzucił się ku drzewu plecyma i nogę pod siebie podciągnął, — bo ciemno już było zupełnie i nie było widać od razu osoby. Dopiero rozpatrzywszy się dobrze, poznali wszyscy xiędza Augustyna, który trzymał w ręku kapelusz i przypatrywał się Kamilowi. Opowiedzieli mu więc wszyscy: Na wieki wieków! — a pan Bonawentura dodał:

— W sam czas jegomość przychodzisz. Mamy gościa niespodziewanego i głowa nam schnie od tej wizyty.

— Wiem już o tem niestety, — odpowiedział pleban z powagą, — i właśnie dla tego skreśliłem tutaj do dwo-

ru, choć mi spieszno do domu; bo już ciż coś tam musiało się stać ważnego. Niespodziewam się, żeby Kamil porzucił szkoły z swej własnej chęci.

— A stało się, stało, — odpowiedział pan Łaski, — zmalowało się łatwo, ale niewiem czy się to odmaluje tak łatwo. Ale chodźmy do izby, bo już i noc całkowita, i nie gada się zresztą o takich rzeczach na dworze.

Przeszli więc wszyscy do izby, a podczas kiedy pan Bonawentura poszedł rozdać znaczki za dzienną pańszczyznę, Szłyk zaś wedle swego zwyczaju obejść obory i stajnie, Kamil opowiadał xiędzu Augustynowi swoje wypadki. Nim skończył, tamci obadwa już, powrócili i słuchali po raz drugi końca znajomej już sobie powieści, i po raz drugi się poddawali takim samym wrażeniom, jak przedtem. Ale ksiądz, chociaż słyszał to po raz pierwszy dopiero, wcale się niczem nie wzruszał, a patrząc się ciągle młodzieńcowi w oczy, słuchał tylko z wielką uwagą i ciekawością. Lecz pomimo braku wpadających w oczy manifestacji, widać było na jego twarzy nieskończenie wiele współczucia, czasem błysnął w jego oczach blask piorunowy, czasem ściągnęły się usta, zamykając sobą wybuch gniewu lub oburzenia. Jakoż nie trudno się stąd było domyśleć, że jego serce wcale nie jest twardsze od serc obudwóch starych żołnierzy, lecz zarazem, że to serce inne od nich ma doświadczenie, i że panuje nad niem nieustannie rozsądek i ta tak rzadka u nas oględność, która nie pozwala wydawać nam stanowczego wyroku, póki całej sprawy nie wysłuchamy do końca. (C. d. n.)

### Domek rodzinny.

Witaj domku bieluchny, spowity w zieleni!  
Wracam do cię po latach i z dalekiej strony,  
Nie zna mię pan dzisiejszy, i patrzy zdziwiony,  
Żem tu stanął i oko mi się tak promieni!

Lecz poznała mię lipa, jak niańka szepteni  
Do dzieciny, zdrój klaszcze jak brat ucieszony,  
I zmarłych ojców głosem biją ku mnie dzwony,  
A świat cały przez łezkę w łezkach mi się mieni.

I wiatr, w biegu mój rywał, jak mię wita mile  
Wonią wszystkich ziół, którem nie rwał tu lat tyle!  
Wszystko tu zna mię! — bracia... jedni nie poznali.

Oh! tu byłem szczęśliwy, gdym spojrział po ziemi,  
Dzisiaj i w niebo patrzę oczyma smutnemi!  
Bo los... Oh! żegnaj domku! los mię goni dalej.

P. K.

### Emil Souvestre.

(Dokończenie)

Moje towarzyszeki zdają się być mniej zajęte tem zestawieniem dat historycznych; spoglądają na wszystko z tem

prostodusznem zadziwieniem, które nie bada ani też roztrząsa. Magdalena czyta napisy umieszczone pod każdym dziełem, a jej siostra odpowiada tylko wykrzykiem podziwu.

Przychodzimy wreszcie na mały dziedziniec, gdzie wyrzucono czerepki z potłuczonych naczyń. Franciszka spozstrzega miseczkę od filiżanki prawie całkowitą i pięknie malowaną, którą sobie przywłaszcza. Ma to jej służyć za pamiątkę dzisiejszych odwiedzin; będzie odtąd miała w swajem gospodarstwie próbkę porcelany Sevreskiej, która się tylko dla królów wyrabia! Nie chce ją wywieść z błędu, i powiedzieć jej, że wyroby tej fabryki sprzedają się dla każdego, że jej miseczka, nim się obtłukła podobną była do tych, co się znajdują w sklepikach dwunasto-groszowych! Na cóż zniweczając złudzenia tej skromnej istoty? Potrzebaż to zrywać wszystkie kwiatki przy płocie, które swym balsamicznym wyziewem naszą ścieżkę napełniają? Najczęściej rzecz sama w sobie nic nie znaczy; idea tylko, która ją ożywia, nadaje jej wartość. Prostować niewinne błędy, aby je naprowadzić do rzeczywistości mniej pożytecznej, jest to naśladować uczonego, co nie widzi w roślinie nic innego, jak tylko pierwiastki chemiczne, z których się składa.

Opuszczając zakład porcelany, obydwie siostry, które już do mnie przyłgnęły z tą otwartością serc dobrych, zapraszają mię do podzielenia z niemi podwieczorku, co go z sobą przyniosły. Ja się im z początku wymawiam; ale ich naleganie ma tyle dobroduszości, że się obawiam je urazić, i ustępuje z niejakiem zakłopotaniem.

Potrzeba tylko wyszukać miejsca dogodnego. Radzę im wejść na pobliski pagórek, a tam znajdujemy piękny stokrótkami ubarwiony trawnik, któren dwa orzechowe drzewa ocieniają.

Magdalena nie posiada się z radości. Marzyła ona całe swe życie o podwieczorku na murawie! Pomagając swej siostrze wydobywać z koszyka przyniesione zapasy, rozpowiada mi wszystkie szczegóły swoich wycieczek wiejskich to układanych, to zaniechanych. Franciszka zaś przeciwnie. Była ona wychowana w Montmorency; nim została sierotą, po kilka razy wracała do swej manki. To co dla jej siostry ma powab nowości, ma dla niej wdzięk przypomnienia. Opowiada mi o winobranii, dokąd ją rodzice zaprowadzali; o przejazdach na osiołku matki Luret, którego nie można było skłonić, aby szedł na prawo, chyba popychając go na lewo; o zrywaniu czereszeń, i o żeglugach po jeziorze w barce oberzysty.

Te przypomnienia mają tyle wdzięku i świeżości wieku dzieciennego! Franciszka mniej sobie to przypomina, co widziała, niż to, co uczyła. Kiedy to rozpowiada, nakrycie już staje gotowe; zasiadamy u stóp drzewa. Przed nami wije się dolina Sèvres, której domy spiętrzone przypierają do ogrodów, i do wzgórza kamieniołomu; po drugiej stronie rozpościera się zwierzyniec w St. Cloud ze swemi pysznymi gaikami, które przegradzają łąki; nad nami otwiera się

niebo, w niezmiernym przestworze, gdzie żeglują obłoczki! Przypatruję się tej pięknej naturze i słucham, co mi opowiadają te pocziwe panny; podziwiam i biorę w tem udział; czas mile upływa, ani spostrzegam tego.

Już też słońce ma się ku zachodowi; trzeba myśleć o powrocie. Podczas, gdy Franciszka i Magdalena zbierają nakrycie, schodzę do rękodzielni, by się dowiedzieć o godzinie powrotu. Festyn jest jeszcze bardziej ożywiony; rozlegają się trąby umieszczonej pomiędzy akacyami orkiestry, zapominam się kilka chwil w przypatrywaniu; ależ ja przyobiecałem obu siostrze, że je do stacyi Bellevue odprowadzę. Pociąg może się spóźnić; idę spieszenie ku ścieszcze wiodącej do drzew orzechowych.

Dochodząc, słyszę głosy po drugiej stronie żywopłotu. Franciszka i Magdalena rozmawiają z ubogą dziewczyną, której odzież opalona, ręce zczerniałe, a twarz łachmanami pokrwawionemi okryta. Zgaduję, iż to jedna z tych młodych wyrobnic, zatrudnionych przy fabryce prochu strzelniczego, która tu na nieco odległym wzgórzu jest założoną. Kilka dni temu wybuch straszny tam nastąpił; matka i starsza siostra tej młodej dziewczyny życie postradały; ona sama prawie cudem ocalona, zostaje dziś bez sposobu do życia. Opowiada to wszystko z pewnym wyrazem rezygnacyi, tym tylko właściwej, którzy już wiele cierpieli. Obie siostry są rozczulone; widzę jak się z sobą po cichu naradzają. Potem Franciszka wyjmuje z swego jedwabnego woreczka trzydzieści sous, które im pozostały, i daje ubogiej dziewczynie.

Przysparzam kroku, aby okrążyć żywopłot; ale nim jeszcze do końca doszedłem, spotykam obie siostry, które wołają na mnie, że już nie pojedą koleją żelazną, że wolą iść pieszo!

Teraz dopiero pojmuję, że pieniądze na drogę przeznaczone właśnie co oddały żebracze.

Dobre, równie jak złe, zarazić może. Biegnę do młodej pokaleczonej dziewczyny; daję jej co miało kosztować miejsce w wagonie, i powracam do Franciszki i Magdaleny, oświadczając im, że razem pójdziemy. Odprowadziłem je aż do ich domu, zostawiłem je napojone wspomnieniami tego dnia, które je na długo uczynią szczęśliwemi!

Tego jeszcze poranku uskarżałam się na takowy los w ustroniu i bez rozrywek; ale teraz poznaję, że Bóg za wszelkie próby wyznaczył nagrody.

Rzadkość rozrywek przydaje by do najmniejszej uciechy, słodycz nieznaną. Używamy tylko wtedy, kiedy czujemy, a ludzie zużyci nie czują, przesyconie odjęło ich duszy wszelki smak, podczas, gdy ujmowanie sobie zachowuje ten najpierwszy dar opatrności ludziom udzielony, *talentem być szczęśliwym*.

Toż to jest, cobym chciał wmówić w bogaczy, aby nie nadużywali, a w ubogich, aby mieli cierpliwość!

Jest-li uciecha najrzadszem dobrem, to też i przejęcie się nią jest najrzadszą cnotą.

Magdaleno i Franciszko! biedne stare panny, które los ze wszystkiego wydziedziczył, ale nie z męstwa duszy, z rezygnacyi i dobrego serca, módlcie się za rozpaczającymi którzy się sami opuszczają, — za nieszczęśliwymi, którzy nienawidzą i zazdroszczą, — za nieczułymi, którzy używają a niemają litości!

Popiel.

## Michał Lermontow.

Dziennik literacki podaje w ostatnich numerach swoich tłumaczenie powieści Lermontowa: „Bojar Orsza.“ Piękne tłumaczenie to zapoznaje nas zjednym z tak mało znanych u nas wieszczów rossyjskich, wieszczem, który jeśli nie stoi na równi z Puszkinem, Mickiewiczem Rossyanów, to pewnie pierwsze po nim a zaszczytniejsze może zajął stanowisko. Co za przecudne porównania! Jak żywe skreślenie charakteru Arseniego, który porwany przepelnionym prądem ognistych sił młodzieńczych wyrwa się z cieśn stosunków społecznych. Widzimy, zdaje się nam, tę siną duszną stęchłość świata, który olacza Arseniego, słyszymy tę burzę, te pioruny charakteru jego, które rozbiły to zakłętę koło. Wśród opisu imponującej harmonii tej burzy odzywa się anielska melodyja, czarodziejski śpiew słowicy. Arseni zakochał się w córce bojara, bojara, który śmiał odepchnąć największe zaszczyty cara, bo te go mogły oderwać od pięknej i nadewszystko drogiej mu córki swojej. Tu wpada zimny, jak sztylet zabijający wiew jesienny. Miłość ta potajemna zdradzona! Tu już znowu burza! Ale burza była zimowa, która wytopia wszystko, co kwitnie i żyje, a zostawia zasypany śniegów, białych jak zasłona, którą śmierć okrywa lice ofiary swojej; burza zimowa, śród której tylko wysoko bujają czarne wron i kruków gromady. Bojar się mści nad Arsenim i córką. Zprzecudnej tej powieści wydarła cenzura rossyjska mnogo wierszów, może co najpiękniejsze ustępy.

Nadto Lermontowa los podobny do losów najpierwszych wieszczów naszych. Tuszymy więc sobie, że miłym będzie rys z życia charakteru i pism autora Bojara Orszy.

Michał Lermontow, potomek wysokiej arystokracji rossyjskiej, odebrał wychowanie przez nauczycieli domowych. Mało znane są szczegóły młodości jego i okoliczności, pod któremi rozwinał się geniusz ten potężny. Przyczyna tego jest ta, że życie jego niestałe i wczesna śmierć nie dały sposobności ni czasu, pozbierać data do biografii jego. Kto tam uważa z tem natężeniem, aby je podać potomności, pierwsze kroki młodzieńca poety, który dopiero próbuje pierwszych dźwięków swoich? Kto pyta go o szkolne zaświadczenia jego, i anegdota z lat dziecińczych? Zresztą do czegoż przydatne zaświadczenia te przy ocenianiu wartości jego utworów? Wiemy jedynie, że uczył się tyle, ile właśnie do egzaminu potrzebował, i że potem z

własnego popędu pracował nad dziejami świata i naukami przyrodzonymi. Przytem, jako syn znamienitego szlachcica rosyjskiego taką nabył łatwość w językach francuskim i niemieckim, jak w ojczystym, a z angielskiego i włoskiego umiał tyle, że mógł rozumieć pisarzy tychże narodów.

Wstąpił potem jako paź do gwardyi. Wtem śmierć Puszkina, która tak bolesny, niepowetowany cios zadała literaturze rosyjskiej, zwichnęła cały los Lermontowa i najznamienitszy wpływ wywarła na jego utwory. Heeckeren, emigrant francuski, używany w dyplomacyi rosyjskiej, zakochał się w żonie Puszkina, ztąd przyszło do pojedynku, w którym poległ pierwszy poeta rosyjski a jeden z największych Europy. Wołał naród, któremu obca ręka zabójcza ztrąciła najświetniejszą gwiazdę z horyzontu życia jego umysłowego, o pomstę u tronu cara. Serdecznym, porywającym głosem świętej boleści ucznia, przyjaciela i o najdroższy skarb odartego Rossyanina zaśpiewał u stóp cara Lermontów. Głosu narodu Car nie wysłuchał, lecz taka nienawiść wzrosła przeciw Heeckerenowi u narodu, iż sam się wydalil z Rosyi do Francyi. Już po wstąpieniu Napoleona używany był do poselstwa dla powitania Cara w Berlinie. Ale za to Lermontowa na Kaukaz wysłano. Oto koniec tej ody na śmierć Puszkina:

O! żyje sędzia wieczny, sprawiedliwy,  
Gdy Car nie pomści... na nasze wołanie  
On rzuci klątwę na kraj nieszczęśliwy:  
„Zdrój waszych pieśni wyschnie od tej chwili,  
Wyście pierwszego wieszca nie uczyli,  
Drugi na waszych progach nie postanie!”

Mylił się Lermontow, został jeszcze jeden wieszcz w Rosyi, a tym był on sam. Ale może przeczuwał, że i on także zginie śmiercią przedczesną, z zbrodniczej ręki także w pojedynku; jak to niżej opowiemy.

Lermontów urodzony i wychowany w świecie, w którym kameleon ideałem, obłudnictwo talentem, a pełzanie celem życia jest; aż do ostatniego tchu nie mógł i nie siłił się kłamać i maskować. Natchniony najczystszy zapalem do wszystkiego co piękne, ani na chwilę nie chciał i nie mógł zboczyć z drogi cnoty i prawdy. I ujrzał się samotnym, porzuconym w świat jemu cudzy, który zwano ojczyzną jego. Ujrzał się otoczonym od ludzi, którzy go nie pojęli lub pojąć nie śmieli i dziw, że nie zwątpił o sobie i o świecie. Dumny z potęgi ducha swego wstąpił w szranki, w imię prawdy i prawa, ale już po pierwszych uderzeniach, związano mu ręce, a na czoło wyniosłe zamiast wawrzynu zatknęto cierniową koronę. Co duszę jego podniosło, to zgubiło go w świecie; ale nie zaprzestał on z najwznioślejszych uczuć palić ofiary bogu swemu, a w dół strącać cielców bałwochwalczych, przed którymi kazano przyklękać i kadzić. Wyklęty za cześć tego, co on ubóstwiał; karany, gdy przemówił; podejrzany, gdy mleczal; obsaczony na około niewidomymi zdrajcami, a

niezdolny, przytłumić w sobie uczucia swoje i myśli na czas dłuższy — z sercem i duszą, z ofiarą szczęścia swego całego na ziemi oddał się on poezyi, i w niej znalazł pocieszenie i nagrodę za cierpienia swoje.

Michał Lermontow cierpiał wiele, ale los mu użyzył jednego daru, bez którego nie jeden może geniusz nie wydo był się na jaw, użyzył mu majątku. Lermontow nie potrzebował się troszczyć o powszednie potrzeby życia. Po salonach arystokracji trzymano go za dziwaka, bo nie szalał z nimi. Wszystkie owe wyrafinowane rokosze świata wyższego zbrzydły mu, choć był młodym. Wołał bujać na dzikim tabunie po stepie sinym, lub rzucając się w szturm bitw zagłuszać w sobie obrzydzenie życia, które go nieraz opanowało. Waleczny aż do szaleństwa, wytrwały jak rodzony syn stepu, nie szukał na polach bojów ni sławy ni odznaczenia; pragnął tylko roztargnienia i wzruszenia, podobnie jak gracz przy zielonym stoliku. Wojnę nawet potępiał, jako to w jednym przecudnym ustępie w „Waleryku“ opisuje. Z całą duszą i zapalem, z namiętnością zagłębił się on w wspaniały świat gór i borów Kaukazu, w nich czerpał natchnienie do wznioślejszych swoich pieśni, i oddał je aż do szczegółów z taką prawdą, siłą i wiernością, jak nikt przed nim. Te opisy Kaukazu technące najświeższą barwą byłyby dostatecznymi, podać mu wieniec nieśmiertelności.

Szkoło pryska, a żelazo hartuje się pod uderzeniami młota. Tak samo też różny wpływ wywiera ciągle walka na umysły i charaktery ludzkie. Charakter Lermontowa był zahartowany; z tem większą sprężystością rozpieął się, czem silniej go przytłumić chciano. Niemógł się oprzeć losowi, który go prześladował, ale i poddać mu się nie chciał. Za nadto był słabym, aby go opanował, a za nadto dumnym, aby się dał opanować.

Oszukany i w niedolę wtrącony przez fałszywych przyjaciół, przytem falą życia burzliwą, to tu to owdzie przeczucany, a więc za nadto często wyrwany z łona prawdziwej przyjaźni, w szczęściu i niedoli zarówno był wiernym przyjacielem, ale też niepohamowanym w swojej nienawiści. Ztąd też ów wrzący gniew, i niepokój w wielu jego utworach, w których niebo i ziemia się odbija, jak na spokojnem zwierciadle wód przy ogniu błyskawicy.

(D. n.)

## Rozmaitość.

\* **Z Lubienia.** Lubień tego roku był więcej ożywiony, niż ostatnimi laty. I zebranie było większe i weselej się bawiono. Jużto dla bliskości Lwowa kąpiele w Lubieniu mają awantaż wielki przed innemi. A przytem dodać należy mocne nazwyczajnie wody siarczane, mogące iść śmiało w zawody z najszkawniejszemi siarczanemi za granicą.

Dawniejszemi laty Lubień, przechodząc przez rozmaite dzierżawy, bardzo był podupadł. Teraz nowy właściciel, baron Brunicki stara się podnieść te kąpiele.

Zabudowań dworskich, dla gości kąpielowych przeznaczonych jest 16., z tych trzy piętrowych. Mieszkań w tych zabudowaniach będzie do 150. Oprócz tego większa połowa domów właściańskich urządzona jest na mieszkania dla kąpielowych gości.

Sala jest bardzo obszerna i kilkaset osób pomieścić może. Łazienki duże i dobrze urządzone.

Pierwsze więc warunki do wzniesienia się, kąpielo w Lubieniu posiadają zupełnie.

Brakuje im jedynie spacerów i tej elegancyi, jaką się dzisiaj wszystkie kąpiele za granicą odznaczają. Jest nie wielki park w Lubieniu, są ścieżki po nim porobione, jest nawet rodzaj altanki. Ale to wszystko celuje ubóstwem i zaniedbaniem. Cokolwiek gustu i nakładu, a z tego co jest, dałoby się wiele zrobić, wiele upiększyć, a ztąd i uprzyjemnić gościom pobyt w kąpielach. Muzyka tego roku była z kolbuszowskich artystów złożona, wcale nie zła, a osobliwie w wykonywaniu tańców bardzo wyćwiczona.

Że kąpiele galicyjskie odwiedzane są przez samych tylko tutejszokrajowych, więc zbiera się w nich zawsze towarzystwo, które dzieli się na rozmaite kółka i koterye. Wiedzą i dopytują się tam o każdego czem jest, kto go rodzi i t. d. i podług tego grupują się. Niema w naszych krajowych kąpielach tej swobody i wesołości w towarzystwach, jaką odznaczają się zagraniczne kąpielowe, gdzie każdego przypuszczają, jakiegokolwiek on jest narodu czy stanu, byle był człowiek przyzwoity i zachować się w towarzystwie umiał.

Jak w salonie, w którym zebrało się więcej osób, nieznanym sobie, rozmaitego powołania, uprzejmi gospodarstwo umieją poprowadzić rozmowę i zabawę, zbliżyć nieznanym do siebie, wyrównać różnicę powołań, a uszanowaniem okazywanem i niżej w hierarchii społecznej stojącym, łatwo także samo uszanowanie dla tychże i u wyżej stojących wymogą, i utworzą przyjemne towarzystwo: tak by powinien i gospodarz kąpielowy czynić. Jego wyłączne zajmowanie się tylko dystyngowanymi lub urodniejszymi gośćmi wywołuje przeciwnie jeszcze więcej koteryi, jeszcze większy niesmak.

Lecz wróćmy do zabaw lubieńskich. Tego roku bawiono się ochocho, bawili się, choć nie wszyscy, ale przynajmniej część jedna, która się „par excellence” towarzystwem nazywa. Zabawy z tańcami były co niedziela. Lecz gdy się rozluhalo, to i w poniedziałek i wtorek, a w przeszłym tygodniu i w środę zbierano się na sali i tańczono do upadłego. Tej niedzieli przybył Bogucki, młody jedenaścioletni chłopczyzna i wyprawił koncert na fortepianie. Grał ośm kawałków. Przywołany po każdej sztuce, a najusilniej po Kolędzie Madejskiego, odegrał oprócz tego Krakowiaka Konckiego, który się powszechnie bardzo podobał, bo z wielkim przejęciem się był wykonany. Młodzieńki ten artysta zapowiada wielkie nadzieje. Dziś już dla niego niema prawie technicznych trudności. Gra nadzwyczajnie pewna i z wyrazem. Ojciec, nauczyciel muzyki we Lwowie, wykształcił go sam do tego stopnia. W niektórych sztukach koncertowych na drugim fortepianie akompaniował synowi.

Młody artysta pod okiem ojca swego rozpoczął pierwszą swą podróż artystyczną. Z Lubienia zamyśla podobno przedtem udać się do Truskawca, a z tamąd przez Sambor, Rzeszów, Tarnów do Krakowa; w tych miastach dawać będzie koncerty. Spodziewać się iż wszędzie z takim współczuciem jak tutaj witany będzie. Talent jego zasługuje na wszelką zachętę do dalszego kształcenia się, zasługuje aby mu podano pomocną rękę.

Tyle o koncercie. Skoro koncert się ukończył, obecni wychodząc z sali umówili się aby za godzinę zebrać się napowrót na zabawę z tańcami. I zaledwie zdołano wynieść wszystkie przygotowania koncertowe, pozapalano światła, i muzyka zagrała, zebrało się kilkadziesiąt osób, i wesoło bawili się aż do 2. po północy. Wszyst-

kich animował do zabawy szanowny właściciel Lubienia, który biorąc sam udział, był niejako gospodarzem tego wieczoru, na który jak i na poprzednie piękny ogród jego dostarcza paniom obficie najpiękniejszych bukietów.

**\* Słów kilka z powodu umieszczonego w N. 83 i 84 Nowin opowiadania na wieczorze u Iskender Beja (hr. Illińskiego).**

Jako naoczny świadek będąc w opisanej na tymże wieczorze potyczce oficerem sztabowym, mogę o szczegółach onej dać krótkie opisanie: Przeciw ogromnej sile Rüdigera, który miał ośm pułków kawalerji, trzy albo cztery dywizyje piechoty, mnóstwo kozaków i 40 dział, my tylko 16 szwadronów, trzy bataliony piechoty z nowozaciężnych złożonej i dziesięć dział, poprzednio na nieprzyjaciela zdobytych, stawiliśmy. Bitwa rozpoczęła się o 10. rano a skończyła się o 4. po południu, a skutek następujący: Nieprzyjaciela na wszystkich punktach pobity i rozproszony, stracił w zabitych i rannych przeszło dwa tysiące ludzi, kilkaset wzięliśmy w niewolę i ośm dział z całym zaprzęgiem oprócz pięciu demontowanych zdobyliśmy. Działa te były z baterji, która w wojnie tureckiej w r. 1829 pod Kuloczą wślawiła się. Gdyby nie przypadek, iż koń pod dowódczą naszego korpusu ranny padł, a to zrobiło na moment cokolwiek zamieszania w naszych szeregach, byłibyśmy większe jeszcze korzyści w tym dniu odnieśli. Na otrzymanym placu boju nocowaliśmy spokojnie.

**Przyjechali od dnia 7. do 8. sierpnia do Lwowa:**

PP. Dobek Konstanty, z Sarnek. Krzczunowicz Ignacy, z Jaryczowa. Michalewski Teodor, z Brodów. Zabielski Józef, z Tarnopola.

PP. Polański Aleksander, z Kolbuszowa. Kowalski Andrzej, z Podhorki. Tretter Konstanty, z Łoń. Siemiński Wilhelm hr., z Żółkwi. Friedberg Adolf, z Sokala. Parzelski Karol, z Karzowa. Żebrowski Tadeusz, z Żurawna. Krasicki Aleksander hr., z Dubiecka. Zawadzki Władysław, z Jezierny. Dobrzycki Franciszek, z Krakowa. Nanowski Aleksander, z Koniuszek. Biegański Kajetan, z Sambora. Kulik Jakób z Pragi.

**Wyjechali od dnia 7. do 8. sierpnia ze Lwowa:**

PP. Wierzbiński Julian, do Truskawca. Hausner Karol, do Brodów. Strzelecki Krzysztof, do Pluhowa. Poten Frydryk, do Lohodowa. PP. Hausner Otto, do Lubienia. Wiśniewski Ignacy, do Czerniowic. Buczyński Klemens, do Brzeżan.

**Kurs telegrafowany z Wiednia 9. b. m. o 2 g. popołud.**

Amszterdam . . . . .	—	Marsylia . . . . .	—
Augsburg za 100 złr.	123 1/4	Medyolan za 300 lirów	—
Bukareszt . . . . .	—	Paryż za 300 franków	145
Frankfurt za 120 złr. podług		Agio duk. ces.	—
2 1/2 stopy . . . . .	122 3/8	Srebra agio . . . . .	23
Genua . . . . .	—	Pożyczka 5% 85 1/2, 4 1/2	74.
Hamburg za 100 tal. banco.	90 3/8	Pożyczka lit. B.	—
Konstantynopol . . . . .	—	Akcyje banku . . . . .	1262.
Liwno . . . . .	—	Kolej północna . . . . .	1730
Londyn za 1 funt szterl.	12. 3.	Obl. ind. . . . .	5% —

Dzisiejszy.	Kurs lwowski.	Gotówką towarem.
Dukat holenderski . . . . .	str. 5 kr. 43	złr. 5 kr. 46
Dukat cesarski . . . . .	5	49
Półimperyal zł. rosyjski . . . . .	10	10
Rubel srebrny rosyjski . . . . .	1	55
Talar pruski . . . . .	1	51
Polski kurant i pięćzłotówka . . . . .	1	25
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr.	92	20